



Fot. J. DEREK

90-letni Edward Goszyk, równoletek LP, wśród „swoich” jodeł, które sadził przed 30, 40 laty.

W Lasach Państwowych przeszedł 17 reorganizacji. „Jego las” dziś rośnie i ma się dobrze. Cieszą go efekty przebudowy śląskich lasów i nawet dziwi się, że od drugiej wojny światowej tyle się udało w leśnictwie dokonać.

Coś więcej niż praca

Rozmowa z Edwardem Goszykiem, emerytowanym leśniczym Leśnictwa Zielone w Nadleśnictwie Koszęcin

– Jak wyglądał początek Pana pracy w LP?

– Po wojnie rozpocząłem pracę w Dobrodzeniu, na terenach poniemieckich. Było niebezpiecznie. Dwóch leśników w Kośmidrach zostało zastrzelonych tam przez Werwolf. Nigdy nie wychodziłem z lasu na jakiś dykt bez starannego rozglądnięcia się. Graszowali złodzieje bydła. Po wsiach słyszałem strzelaniny.

– Mielicie broń?

– Oczywiście.

– Dostaliśmy karabiny. Ja miałem model niemiecki, z pięcioma nabojami.

Nie użyłem go ani razu, ale pod Sowczycami spotkałem w lesie trzech z Werwolfu uzbrojonych w pistolety maszynowe. Nie miałem szans, schowałem się pod świerkami.

Ludzie wiedzieli jednak, że w okolicach leśniczówki nie wolno kraść. Mogli dostać kulkę w łeb.

– Jak wyglądało życie codzienne leśnika po wojnie?

– Mieszkałem w leśniczówce. Niemcy poszli, ale zostały po nich m.in. ziemniaki w kopcu. Dzięki temu nie głodowaliśmy. Dostaliśmy

kartki – coś się na nie dostało, albo nie, w zależności od tego, czy przyszła dostawa. Wypłata była raz na trzy miesiące.

– Kto przychodził wtedy do pracy w leśnictwie?

– Przychodzili ludzie z całej Polski. Wśród nas dużo było partyzantów. Zostawiali gajowymi. Znali las o tyle, że siedzieli w nim i mieli jakieś obserwacje.

– Wtedy leśnik czasami walczył o swoje życie, ale na co dzień walczył o las. Jaki on wtedy był?

– Pożal się Boże – sama osnuja. Miejscowi stolarze zrobili nam takie drewniane skrzynki (12x12x12 cm), do których kobiety zbierały larwy. Podczas jesiennych poszukiwań pod jednym drzewem w ściółce nazbierały nawet pełną skrzynkę. Od początku lat 50. opylano lasy z samolotów. Część lasów uratowano, ale środki ochrony były tak niedoskonałe, że ucierpiały zwierzęta. Usuwaaliśmy posusz. Stos papierówki był na około 600 m długi i 2 metry wysoki! Wysoka produktywność wymuszona była kłeskami, ale swoją drogą, przemysł potrzebował ogromnych ilości drewna.

– Dlaczego opuścił Pan Dobrodzień?

– Po 9 latach, w 1954 r., przeniesiono mnie. Wtedy była taka zasada – leśniczy nie może być długo w jednym miejscu, gdyż kuma się z miejscową ludnością. Przerzucano nas

z miejsca na miejsce. To nie było dobre. Po trzech latach las się dopiero poznało i trzeba było iść gdzie indziej. Karabinu w Koszęcinie już nie miałem, tylko dubeltówkę. Tutaj było spokojniej. Wreszcie ktoś pomyślał, że ciągle przenosiny to wariactwo. Zostałem, aż do emerytury w 1989 r., w Leśnictwie Zielona.

– Jakie to były lasy?

– W 90% sosna. Monokultura. Siedliska borowe. Na piachach. Nasi poprzednicy dodatkowo zdegenerowali glebę sadząc tylko sosnę. My, po wojnie, dlatego mieliśmy takie problemy z owadami. W Dobrodzeniu była osnuja, w sosnach Koszęcina walczone z mniszką. Już wtedy mówiło się, że zdrowy las musi być wielogatunkowy. Rozpocząłem powolną przebudowę tych lasów.

– Jak najczęściej się zaczynał Pana dzień pracy?

– Od rana do wieczora byłem w pracy. Wszystkiego trzeba było dopilnować. Mieszkałem w ogromnej leśniczówce z początku XX w. Sufity – 3,65 m. Piec kaflowy. Jak napaliłem – głowa była w cieple, ale nogi zawsze zimne. Czasami już około 6.00 do leśniczówki przychodzili interesanci. Wczesnym rankiem wsiałem na rower i spod leśniczówki jechałem w teren. Najmniej robiłem około 15 kilometrów dziennie. Potem miałem służbową syrenkę i 300 kilometrów ryczałtu

na miesiąc, ale jak miałem przepał musiałem płacić z własnej kieszeni. Czasami pracowałem w niedzielę. Ludzie przychodzili do leśniczówki po mszy w kościele. Leśniczówka, w warunkach wiejskich, była w zasadzie dostępna całodobowo.

– Skąd Pan brał robotników do pracy w lesie?

– Zawsze ich brakowało. W Dobrodziceniu miałem 52 robotników do pracy, a w Koszęcinie ich już nie było. Konkurencja kopalń i hut robiła swoje. Tam zarabiali nawet 3 razy tyle, ile w leśnictwie. Jak nawet ktoś przyszedł, to był to najgorszy gatunek pracownika. Szkoda gadać.

– Jak wyglądała mechanizacja prac leśnych?

– Byłem świadkiem wejścia na rynek pił mechanicznych, dwuosobowych. Jedna ważyła 40 kilogramów. Żeby wykonać roczne pozyskanie 8 tys. m³ trzeba było ogromnej liczby ludzi.

– Jakże były wtedy pensje?

– Pożal się Boże. Każdy miał swoje małe gospodarstwo. Miałem nawet krowę. Darmo mieszkać, mundur? Zakłady w miastach też dawały mieszkania. A kto chciał mieszkać pod lasem, na odludziu, w starej, zimnej leśniczówce, gdy rozwijał się przemysł? Tylko najwytrwalsi. Coś więcej niż tylko praca mnie trzymała.

– Kto sadił las?

– To były wielkie akcje zalesieniowe. Często brały w nich udział dzieci ze szkół. Dziś –

nie do pomyślenia. Kobiet do pracy ubywało – wolały pracować za lepsze pieniądze w przemyśle. Z kierownikiem szkoły załatwiałoby się uczniów. Pieniądze szły na szkołę. Ale mieliśmy z dziećmi stale jakieś kłopoty – trzeba było ich pilnować.

Jedziemy po dawnej drodze gruntowej, obecnie utwardzonej, w drzewostany Leśnictwa Zielona, które były sadzone pod kierunkiem leśniczego Edwarda Goszyka.

– W dawnych operatach niemieckich, najstarszy był z 1820 r., pojawiała się, obok sosny, np. jodła – kontynuuje E. Goszyk. – Szukałem jej w terenie. Po wojnie już jej nie było, gdyż jak ją wycięli, to nowej nie posadzili.

– Staralem się wprowadzać jodłę na nowo. Nasiona zdobywałem – od znajomych, od przypadkowych ludzi. Nie miałem żadnych rachunków. Kupowałem te nasiona za własne pieniądze. To była właściwie samowolka. Chciałem jednak zmieniać te lasy w kierunku bardziej urozmaiconych gatunkowo.

Ten las już dziś widać.

Uroczysko „Dwa mosty”.

– To było moje najpiękniejsze miejsce w Leśnictwie. 150-letnie dęby, dziuplaste lipy. Las mieszany. Jeszcze teraz rośnie tu lilia złotogłów. Był też obuwik. Szukałem go przed trzema laty, ale nie znalazłem. W potokach były raki i ryby. Gniazdowały też zimorodki. I są nadal. Był także bocian czarny. I są nadal jest.

– Czy w początkach Pana pracy mówiło się o ekologii?

– Raz pamiętam zabrałem głos w sprawie huty cynku w Miasteczku Śląskim. Wokół niej wszystko schło. Powiedziałem swoje, podziękowano mi i tyle. Nie było żadnej reakcji.

– W końcu chwycił Pan za pióro i sam opisał wiele spraw, którymi żyli leśnicy.

– W 1972 roku w pewnej monografii, która miała 440 stron, o powiecie lublinieckim napisano o lasach tylko pół strony! A przecież one zajmują około 55% powierzchni całego powiatu. Przed ponad 60 laty, w „Łowcu Polskim”, ukazał się pierwszy mój tekst. Na tematy historyczne napisałem kilka książek i broszur oraz około 270 artykułów w prasie. Staralem się wypełniać te luki, które pozostały po okresie, gdy po wojnie nie pisało o sprawach lasów i leśnikach, a już najmniej o ekologii.

Rozmawiał: JACEK DEREK



Edward Goszyk ze swoim następcą w Leśnictwie Zielona – leśniczym Jackiem Haladajem.

Fot. J. DEREK